

GRAHAM MASTERTON

ANIOŁ JESSIKI



ROZDZIAŁ 1

Wołania pośród nocy

Zauważyli ją natychmiast, gdy wyszła z pracowni plastycznej. Było ich pięcioro: Sue-Anne, Charlene, Micky, Calvin i Renko. Wywijając torbami, biegli pędem przez korytarz, robiąc tyle hałasu co całkiem przyzwoity huragan.

— Patrzcie, lezie niezgraba! — krzyknęła Sue-Anne. — Pokaż nam, jak biegasz, ofermo!

— Taa, pokaż nam! — zawtórowała jej Charlene. — No dalej, niezgrabo, ruszaj... Pokaż, jak biegasz!

Jessica oparła się o ścianę, przyciskając kurczowo do piersi swoją teczkę z rysunkami. Micky tańczył wokół niej i pociągał ją za warkocze.

— I co dzisiaj narysowałaś, kuternogo? Znowu wróżki i elfy? Czemu nigdy nie narysujesz czegoś innego?

— Bo ona jest jedną z nich... właśnie dlatego — powiedział Calvin.

Renko pstryknął Jessicę w czubek nosa, a gdy dziewczynka uniosła ręce, by się osłonić, wyrwał jej teczkę z rysunkami.

— Oddaj mi to! — krzyknęła Jessica.

Chłopak oddał jej rysunki, ale zaraz znowu je wyrwał.

— Przecież mówiłem, że chcę tylko sobie na nie popatrzeć. Jestem miłośnikiem sztuki... ha, ha, ha!

— Taa, on nawet bardziej kocha sztukę od pierdzenia. — Micky się zaśmiał.

Sue-Anne stanęła na palcach, założyła ręce do tyłu i krążąc wokół Jessiki, zaczęła ją przedrzeźniać:

— Patrzcie na mnie, jestem Jessica, jestem wróżką... — Zaczęła skakać na jednej nodze. — No, pewnie bym była, ale mam kulawą girę... ha, ha, ha!

— Oddajcie mi teczkę — wyjąkała Jessica, wyciągając rękę. — Renko, proszę... Malowałam to przez cały rok!

— Przecież ci powiedziałem, że chcę tylko na te twoje malunki popatrzeć — powtórzył Renko. — Wiesz, ja też się znam na wróżkach, krasnalach i elfach...

— Renko, oddaj...

— A co mi zrobisz, jak ci nie oddam?

— Może naskarżysz pannie Solomon? — zapytała z przekąsem Sue-Anne.

— A może będziesz ryyczyć... ha, ha, ha! — Charlene się zaśmiała.

Renko wyciągnął do Jessiki rękę z teczką, ale natychmiast ją cofnął i pobiegł schodami w górę. Dopiero tam się zatrzymał i otworzył zatrzaski teczki.

— Renko, nie! — krzyczała Jessica, kuśtykając za nim.

— Dogoń mnie, Jessico! Nie wiesz, że wróżki i elfy potrafią latać?

— Nie, nie rób tego! — błagała dziewczynka.

Ale Renko już wyrzucił całą zawartość teczki na schody. W powietrze pofrunęły elfy i wróżki wraz z rojem pszczoł i kolibereków, barwne akwarele elfich domków usadowionych wdzięcznie pośród gałęzi, szkice kąkoli i goździków na łące i ogony spadających gwiazd.

Wirując, poszybowały w dół i rozsypały się po schodach

i podłozde. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do szkoły weszła cała klasa trzecia, wnosząc z podwórza śnieg i błoto. Dzieci przebiegły przez białe kartki jak tornado, nie zdając sobie sprawy z tego, że niweczą czyjaś całoroczną pracę.

— Moje rysunki! — krzyknęła w panice Jessica. — Nie depczcie moich rysunków!

Jedna lub dwie głowy uniosły się w górę, ale dzieci nie wiedziały, o co chodzi. Dopiero po chwili jeden z chłopców, Billy Munoz, spojrział pod nogi i zobaczył, że stoi na przesłicznym pałacu o wysokich, strzelistych wieżycach. Po przestronnych tarasach i krętych schodach przechadzały się wróżki i elfy. Była to najlepsza praca Jessiki. Billy trącił w bok Deana Schmittera, który również spojrział w dół i natychmiast wytarł zabłocone buty o białą kartkę. Klarowne ołówkowe kreski zamieniły się w brudnoszare, nieregularne plamy.

— Och... niee, niee! — chlipała Jessica.

— Och, nieee... niee depczcie moich wróżeeek... — przedrzeźniała ją Sue-Anne, stojąca za jej plecami.

— Noo niee, niee depczcie, bo będzie ryczała — wtórowała jej Charlene.

Jessica chwyciła się kurczowo poręczy i zaczęła schodzić najszybciej, jak potrafiła.

— Ooo, patrzcie, jak nasza kuternoga się spieszy. — Charlene się zaśmiała. — Zaraz zdobędzie rekord świata kulusów w gramoleniu się po schodach.

Jeden tylko Renko nic już nie powiedział, kopnął tylko teczkę, w której były rysunki, i odszedł.

Jessica zeszła na pierwsze piętro i zaczęła zbierać swoje prace, nerwowo przyciskając je do piersi. Dławił ją żal, ale starała się nie uronić ani jednej łzy. Doszła już do ostatniego stopnia, podniosła kolejną kartkę i spojrzała w górę. Tuż przed nią stał Billy Munoz i trzymał przed sobą jeden z rysunków tak, jakby chciał go przedrzeć na pół.

— Przyjdź i weź go sobie — powiedział, uśmiechając się złośliwie. — Przyjdź i weź go, zanim będzie za późno!

Jessica postąpiła niepewnie krok naprzód, potem jeszcze jeden — i w tym momencie potknęła się. Usiłowała chwycić się poręczy, ale jej ręce, pełne rysunków, chybiły celu. Uświadomiła sobie, że zaraz upadnie. Przez jedną sekundę wyglądała jak akrobatka, która zastygła w jakimś niesamowitym półobrocie. Wokół niej wybuchła biel papierowej chmury. Usłyszała trzask uderzających o siebie kartek — brzmiało to jak aplauz zachwyconej publiczności. Jeszcze jeden obrót i jeszcze jeden... Teraz już nikt nie nazwie jej niezgrabą.

Ale zaraz potem jej biodro i ramię uderzyły o metalową barierkę i była już tylko kręcącą się marionetką, wirującymi bezładnie ramionami i nogami. Po chwili uderzyła głową o marmurową posadzkę i znieruchomiała.

Cała klasa trzecia stała w milczeniu, patrząc z przerażeniem na to, co się właśnie wydarzyło. Jessica leżała na podłodze nieruchomo, z dziwnie powykręcانymi rękami i nogami. Jeden z jej rysunków tańczył jeszcze przez parę sekund w powietrzu, a potem powoli spłynął z drugiego piętra jak jesienny liść i znieruchomiał tuż przy dziewczynce. Fay Perelli przyklękła przy koleżance i ujęła ją za ramiona.

— Jessica, Jessica... odezwiąj się. Daj znak, że żyjesz... Jessica... proszę, odezwiąj się... powiedz coś.

Twarz dziewczynki była szara jak popiół. Gdy Fay obróciła ją na bok, spod głowy wypłynął strumień krwi, wijąc się jak wąż w spoinach marmurowych płytek.

— Zawołajcie nauczyciela — szepnęła przerażona Fay. Podniosła głowę i spojrzała na swoich kolegów. — Zawołajcie nauczyciela! — krzyknęła.

Jessica otworzyła powoli oczy. Pokój zalewało dziwne światło — jasne, zimne, prawie niebieskie. Przypominało księżycowe noce, gdy w czerń nieba wkrada się niebieskawa poświata. Dziewczynka pomyślała, że pewnie już umarła i poszła do nieba, postanowiła więc poczekać na anioła, który powiedziałby jej, co ma dalej robić. Kiedy czekała na niego, zmorzył ją sen i zamknęła oczy.

• • •

— *Pomóż nam.*

Powieki Jessiki drgnęły.

— *Bardzo prosimy... pomóż nam.*

Głos był tuż przy niej, tuż przy jej uchu, a brzmiał jak wysoki głosik pięcioletniej, bardzo przestraszonej dziewczynki.

— Ho haego? — wyszeptała Jessica spieczonymi, opuchniętymi ustami.

— *Musisz nam pomóc, bo to coś już idzie po nas.*

Ale Jessica odwróciła głowę i znów zasnęła.

• • •

Zimne światło wypełniające pokój stawało się coraz ciemniejsze. Rosły plamy fioletu, w pokoju zaczęły tańczyć mroczne cienie.

— *Pomóż nam!*

• • •

Kiedy Jessica otworzyła oczy, usłyszała, jak ktoś cicho zamyka drzwi. Tuż za nimi stały dwie albo trzy osoby i rozmawiały przyciszonymi głosami.

— ...jeszcze na pewno dużo czasu upłynie, to długa droga, ale wszystko zmierza ku lepszemu...

Hmm... czyżbym gdzieś szła...? — zdziwiła się Jessica.

Może do jakiejś innej części nieba. Ale jeśli wszystko wskazuje, że jest coraz lepiej, to znaczy, że nie będzie żadnych problemów. A może te istoty za drzwiami chcą, by wróciła do rodziców?

— ...mówiliśmy do niej, śpiewaliśmy jej ulubione piosenki... śmieszne, ja i śpiewanie... zwłaszcza *Jestem przegrany, maleńka* albo *Dlaczego mnie nie zabijesz?*

Jessica zmarszczyła brwi. Ten głos przypominał jej głos dziadka Willy'ego. Ale przecież dziadek Willy nie mógł tu być... przecież on żyje, więc co by robił w niebie?

— ...kiedy już odzyska przytomność, powinna szybko zacząć nabierać sił... Nie ma żadnych poważniejszych wewnętrznych obrażeń...

— ...nie masz pojęcia, jaką ulgę czuję...

Głosy zamilkły, odplynęły. Jessica zamknęła oczy i zapadła w sen. Pajęczyna cieni roztoczyła wokół niej swoje nitki i wkrótce nastąpiła zupełna ciemność.

• • •

— *Pomóż nam...*

• • •

Jessica poruszyła się i jęknęła.

— *Pomóż nam...*

Dziewczynka przebudziła się nagle i otworzyła oczy.

— *Pomóż nam... prosimy... Idzie już po nas... pomóż nam.*

Usiadła i rozejrzała się dookoła, ale nikogo nie zobaczyła.

— *Gdzie jesteście?* — zapytała szeptem.

— *Tu... tu jesteśmy. Prosimy... pomóż nam. To chce nas porwać i już jest blisko.*

— Nie widzę was — powiedziała bezradnie Jessica. Czowała, jak serce wali jej w piersiach. Rozglądała się, ale niczego i nikogo nie widziała. Wiedziała już, że to nie jest

niebo. Znała ten pokój, był to jej pokój w domu dziadka i babci. Widziała nawet swój szlafroczek wiszący na drzwiach. Więc może jednak nie umarła? Chyba że w niebie wszystko wygląda tak samo, jak na ziemi.

— *Prosimy... pomóż nam...*

— Ale gdzie wy jesteście? Nie widzę was.

— *Już po nas idzie... już jest blisko... porwie nas wszystkich!*

— Kto was porwie?

Nagle rozległ się głuchy stukot i zaległa cisza.

— Kto chce was porwać? Co się zbliża? — spytała jeszcze raz Jessica. — Jak mam wam pomóc, skoro was nie widzę, nie wiem, gdzie jesteście, i nie wiem, kim jesteście?

Nasłuchiwała przez chwilę, ale odpowiedź już nie nadeszła. Rozejrzała się dookoła i szczelnie przykryła kołdrą, pilnując, by nie wystawał spod niej nawet kawałek palca. Zapaliła nocną lampkę, której klosz w kwiatki dawał ciepłe, przytulne światło. Jej prawa kostka była owinięta bandażem i bolała ją, jakby była zwichnięta, a lewa stopa wyglądała tak samo jak zawsze — wygięta, pokryta bliznami. Napięta mięśnie pleców i ramion. Poczowała ból, taki sam, jak tuż po wypadku samochodowym. Wyprostowała ręce i sięgnęła ponad głowę. Dopiero teraz odkryła, że ma na głowie turban z bandażu, zupełnie jakby była Ali Babą. Wstała i powoli podeszła do lustra. Zaskoczona, wpatrywała się długo w swoje odbicie. Jej oczy otaczały tęczowe obwódki, a usta przecinały czarne kreski zaschniętej krwi. Twarz była kredowo-biała, a całe ciało chudsze niż kiedykolwiek przedtem.

Stała jeszcze przed lustrem, wpatrzona z przerażeniem w swoje odbicie, gdy do pokoju weszła babcia. Znajomy widok: siwe włosy i jasnoczerwony, ręcznie robiony sweter.

— Jessica, słoneczko moje... obudziłaś się wreszcie! Ależ to... Dziadku Willy, chodźże tu prędko! — zawołała babcia. — Jessica się przebudziła!

Objęła dziewczynkę i podprowadziła ją do łóżka.

— Jak się czujesz, moja kochana? Czy boli cię główka? A jak nóżka? Mój Boże... tak się o ciebie martwiłiśmy.

— Eee... już wszystko dobrze — odparła Jessica. — Czuję się, jakbym spadła ze schodów albo coś takiego.

— Przecież właśnie to się stało. Spadłaś ze schodów. Upuściłaś swoje rysunki, a kiedy próbowałaś je pozbierać, upadłaś. No i... potłukłaś się... dość mocno.

Do pokoju wszedł dziadek Willy, jak zawsze z rozwichrzonymi włosami, i rozłożył szeroko ramiona.

— Dziecinko kochana, jak to dobrze, że już się obudziłaś. Pięć nocy nie mogłem zmrużyć oka, tak się o ciebie martwiłem.

— Pięć nocy? To znaczy, że... tak długo spałam?

— Tak, dokładnie tyle. Najpierw byłaś przez dwa dni w szpitalu. Ponieważ jednak nic nie wskazywało na to, że coś ci grozi, lekarze postanowili cię nam oddać. Mówili, że tak będzie lepiej. Ale muszę powiedzieć, że napędziłaś nam niezłego stracha.

— Ja prawie wcale nic nie pamiętam... — wymamrotała Jessica. — Wiem tylko, że chciałam podnieść moje rysunki...

— Wszystko sobie z czasem przypomnisz, kruszynko. — Dziadek uśmiechnął się i ujął dłoń wnuczki w swoje ręce. — Doktor Leeming mówił nam, że możesz teraz nie pamiętać pewnych rzeczy, ale z czasem wszystko sobie przypomnisz. Ach, jak się cieszę, że już się obudziłaś. Teraz jednak wracaj lepiej do łóżka — powiedział, mrugając do Jessiki. — Ale, ale... może ty jesteś głodna? Doktor Leeming powiedział, że jak się obudzisz, możemy dać ci trochę rosółu. Oczywiście jeśli tylko będziesz miała na niego ochotę.

— Nie, teraz nie, dziękuję. Wciąż jakoś dziwnie się czuję — odparła Jessica.

— Ależ to normalne, że tak się czujesz — powiedział dziadek i uśmiechnął się czule do wnuczki.

— Chyba każdy, kto poszedłby do szkoły w środę i obudził się dopiero w następny poniedziałek, czułby się tak samo — oświadczyła babcia. — A może masz ochotę obejrzeć telewizję, słonko? Wiesz co, przyniosę ci kubek gorącego mleka. To jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

— Dzięki, babciu. — Jessica nie miała ochoty na mleko, ale wiedziała, jak bardzo babcia lubi ją rozpieszczać. Być może w jakiś sposób pomagało jej to złagodzić ból po utracie osoby, której zdjęcie stało na kominkowym gzymsie. Było to zdjęcie kobiety bardzo podobnej do Jessiki.

— Babciu... — powiedziała cicho, zatrzymując starszą panią w progu.

— Co takiego, kochanie? Co się stało?

— Nie wiem, nie jestem pewna... Może to wszystko tylko mi się śniło. Tak, pewnie mi się tylko śniło.

Babcia podeszła do łóżka wnuczki i usiadła na jego skraju.

— No, kochanie, powiedz... Co się stało?

W świetle małej nocnej lampki jej skóra wyglądała aksamitnie miękko, ale Jessica widziała całe kaniony zmarszczek na jej twarzy. Widziała też puder, spod którego przebiły małe włoski wokół ust.

— Babciu, czy oprócz nas w tym domu jeszcze ktoś mieszka?

— Kruszyńko, nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

— Ach... nie, to już nieważne. To na pewno był sen.

— No dobrze. Mam tylko nadzieję, że to nie był zły sen.

— Hmm, nie jestem pewna. Babciu, tu nie ma żadnych dzieci... w tym domu, prawda?

— Nie, kochanie, tylko ty.

Babcia pocałowała wnuczkę w czoło. Jessica usiadła na łóżku i przez chwilę nadśluchiwała. Nagle podskoczyła, bo wydało jej się, że coś usłyszała, ale była to tylko ława śniegu osuwająca się z dachu na ogrodową werandę.

ROZDZIAŁ 2

Dziewczynka w lustrze

Śnieg padał tak gęsto, jakby ktoś rozpruł nad miasteczkiem tysiące puchowych poduszek. Na dodatek zawracająca ciężarówka zatarasowała całą Hutchinson Parkway, musieli więc nadłożyć sporo drogi. Była dopiero trzecia po południu, ale wszystkie samochody miały włączone światła.

— Powinniśmy byli wyjechać co najmniej godzinę temu — powiedziała mama.

— Wszystko będzie dobrze — oświadczył tata. — Kiedy już minimy White Plains, będziemy mogli jechać szybciej.

— Ale przecież sam wiesz, jak bardzo moja matka zwraca uwagę na punktualność.

— No to może do niej zadzwonisz, hmm? Powiedz jej, że jesteśmy już niedaleko Dunbury.

— Przecież mamy jeszcze całe mile do Dunbury.

— Wiem. Ale jak tylko wydostaniemy się na drogę sześćset osiemdziesiąt cztery, dam gaz do dechy.

Na tylnym siedzeniu biucka, na wyściełanych czerwona skórą siedzeniach, Jessica bawiła się figurkami swoich wrózek: królową Titanią i księżniczką Fay.

Oh, księżniczko Fay — powiedziała przestraszonym

głosem Królowa — *straszne śnieżne potwory lecą na nas ze wszystkich stron. I co my teraz zrobimy?*

Nie bój się, nigdy nie okazuj strachu. Zaraz użyję mojej czarodziejskiej różdżki, postawię wielką ścianę śniegu i żaden potwór się do nas nie dostanie.

Mama uśmiechnęła się do córki, wzięła telefon i wystukała numer.

— Mamo...? Tak, to ja. Tak, tak, wszystko dobrze, nic się nie denerwuj. Za parę minut będziemy mijali Dunbury. Tak, na pewno... Tak. U nas też pada i jest zimno. Mam nadzieję, że załapiemy się na twój pyszny ciepły sok owocowy.

— No i jak, co mówiła? — zapytał tata, gdy mama się rozłączyła.

— Uwierzyła mi, jeśli o to ci chodzi.

Nasze magiczne sanie będą pędziły, przemkniemy obok bestii i pojedziemy do Pałacu Staruszków. A tam czeka już na nas wielka uczta: galaretki z wiśni, całe mnóstwo ciastek i babeczek oraz łabędzie z cukru. Będziemy słuchać muzyki i tańczyć. A kiedy będziemy wchodzić, przywita nas cały chór tręb — mówiła Fay.

— Zobaczcie, co ten człowiek wyprawia! — przerwał monolog księżniczki tata. — Nosi go po całej szosie, od krawężnika do krawężnika!

Zbliżali się do wielkiej ciężarówki, która przewoziła lodówki. Na wielkiej budzie widniał napis: PRZESYŁKI Z SAMEGO BIEGUNA. Pod napisem był namalowany pingwinek z szyją owiniętą szalem. Chociaż ciężarówka jechała niecałe dwadzieścia mil na godzinę, wielka przyczepa tańczyła na drodze jak przyciężkawa baletnica. Za nią kłębiła się chmura zmarzniętego śniegu i błota. Tata musiał przełączyć wycieraczki na najszybsze obroty, co bardzo się podobało Jessice — *szur; szur; szur... szaaaar, szur...*

Nagle tata zatrąbił i mignął długimi światłami.

— Daj spokój, John — powiedziała mama i położyła dłoń na ramieniu męża. — Nie musisz w ten sposób okazywać zniecierpliwienia.

— Dlaczego nie? Wystarczyłoby, żeby zjechał trochę na bok i nas przepuścił. Zresztą ten gość jest chyba trochę podпиты. Zobacz, jak on jedzie.

I znowu długie światła, i znowu trąbienie. Jessica miała wrażenie, że pingwinek z przyczepy uśmiecha się do niej i macha skrzydełkami. Jego uniesiony „kciuk” zdawał się mówić: „Nie martwcie się, dzieciaki, wszystko będzie dobrze”.

Księżniczko Fay, nie martw się. Na naszą ucztę zaprosimy wszystkie pingwinki i białe misie. Damy im smaczne makrele i poczęstujemy je miętowymi lodami.

Tata przyspieszył gwałtownie i odbił w lewo, starając się wyprzedzić przypominającą potwora ciężarówkę.

— John, nie! — krzyknęła mama. — Nic nie widzisz. Przecież z naprzeciwka może coś jechać.

— Wszystko dobrze, kochanie... Zaufaj mi. Dobrze znam tę drogę. Tu zaraz jest zakręt w lewo. Cokolwiek by tam jechało, i tak będę widział.

Kiedy wymijali wielką ciężarówkę, okno Jessiki zostało dokładnie zachlapane śniegiem i błotem tryskającym spod wielkich kół. Tata coraz bardziej dodawał gazu, ale ciężarówka zdawała się nie mieć ani końca, ani początku.

— Cholera, ten wariat jeszcze dodaje gazu! — krzyczał. — Co on wyprawia! Czy on nie widzi, co ja chcę zrobić?

Wycieraczki pracowały z całą mocą, ale fontanny błota zachlapały całą szybę i tata jechał niemal na ślepo.

— John, daj spokój, zwolnij — prosiła mama. — Niech jedzie. Odpuść.

— O nie... nie temu gnojkiowi. Nie odpuszczę mu teraz. Jechali łeb w łeb, tuż obok siebie. Gdy tata zrównał się z szoferką ciężarówki, nagle zniknęło całe błoto i śnieg. Przez szybę wtargnęło oślepiające światło i załało cały samochód. Jessica usłyszała szept matki, jakby mówiła tylko do siebie:

— John... o Boże...

Nadjeżdżający z przeciwka samochód uderzył w nich z całym impetem. Jessica nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć, czy słyszała odgłos uderzenia, a przecież na pewno musiała go usłyszeć. Pamiętała jednak ogromną siłę uderzenia, wrzynające się jej w pierś pasy bezpieczeństwa oraz uczucie, że wylatują jej wszystkie przednie zęby. Potem usłyszała dudniący odgłos staczającego się do rowu samochodu i uderzenia w drzewa. Ale nie czuła żadnego bólu, mimo że fotel matki, odrzucony do tyłu impetem uderzenia, zgniółł jej stopy.

Pamiętała tylko niektóre obrazy. Widziała otwarte drzwi, oślepiały ją światła latarek. Słyszała głosy:

— Czy wszystko dobrze? — zapytał ktoś.

— Lace, lepiej zadzwoń pod dziewięćset jedenście. Zdaje się, że mamy tu dwa trupy.

— A jak ty się czujesz, mała damo?

— Gdzieś zniknęły moje wróżki...

— Nie martw się, znajdziemy twoje wróżki. A teraz zobaczymy, czy uda nam się wyciągnąć cię z samochodu.

• • •

Stała przy oknie sypialni, patrząc na otulony śniegiem ogród. Dziś rano doktor Leeming zbadał ją i zdecydował, że można już zdjąć turban z bandaży. Głowę miała wygoloną w śmieszny trójkącik, na którym było siedem szwów, więc teraz owijała ją jedwabnym, czerwono-żółtym szalem mamy.

Pośrodku ogrodu od bieli śniegu odcinała się brązem statuetka Pana, wdzięcząc się swoim niegodnym zaufania uśmiechkiem. Bożek wyginał się w dziwnym tańcu, wygrywając na swojej syryndze niesłyszalne melodie, a na czubku głowy miał śmieszny czapkę ze śniegu.

Jessica rozejrzała się po pokoju. Aż trudno było uwierzyć, że minęło już jedenaście miesięcy od wypadku samochodowego. Jej pokój na Wschodniej Osiedzi Szóstego był urządzone w pastelowych kolorach i w bardzo nowoczesnym stylu. Tego wrażenia nowoczesności nie zakłócały nawet tłumy wrózek, elfów i skrzatów, które obsiadły wiklinowe fotele i krzesła — ani stół, na którym zawsze pełno było przyborów do malowania i rysowania.

Dziadek Willy mieszkał tu od 1948 roku, ale nawet już wtedy ten dom miał osiemdziesiąt pięć lat. Stał na sześciopakrowej działce, niecałe dwie mile od New Milford, na drodze do Allen's Corners. Miał stopniowane, spadziste dachy i bardzo wysoki komin. Jessica nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś wybudował taki dziwny dom. Chyba że ten ktoś był bardzo bogaty, samotny i smutny.

Jak każdy pokój w tym domu, jej sypialnia również była wyłożona tapetą, ozdobioną wzorkami róż, irysów i ostów. Wszystkie tapety były już nieco wyblakłe i mocno przybrudzone, ale Jessica przypuszczała, że dziadkowie już nie zauważają takich szczegółów. Dziadek Willy sam przypominał taką tapetę. Dziś na przykład przez cały ranek chodził w koszulce poplamionej zaschniętym żółtkiem jajka, a babcia włożyła stare, pocerowane skarpety.

Po jednej stronie pokoju stała duża szafa, w której Jessica trzymała swoje rzeczy. Była bardzo wysoka, sięgała prawie pod sam sufit. Po drugiej stronie, tuż obok wykładanego brązowymi kafelkami kominka, znajdował się stół, na którym stał komputer, i toaletka z lustrem w rzeźbionej dREW-

nianej ramie. W lustrze tym pojawiała się dziewczynka, z którą Jessica codziennie rozmawiała. Miała śliczne, duże, ciemne oczy, sięgające ramion kasztanowe włosy i delikatne rysy elfijskiej dziewczynki. Ale tak jak Jessica, również nie miała przyjaciół. Matka babci pochodziła z Norwegii, tak przynajmniej mówiła sama babcia, i może właśnie po niej Jessica odziedziczyła taką urodę. Przecież w Norwegii mieszka wiele elfów, a zdarza się, że elfijskie dziewczęta biorą sobie ukochanego spośród ludzi.

W końcu zdecydowała się zejść na dół. Wspaniale jest być elfijską dziewczyną i przebywać pośród wrózek i skrzatów, zaczynała jej już jednak dokuczać samotność, a i żołądek dopominał się o swoje prawa, w dodatku z dołu dochodziły smakowite zapachy gotowanej szynki i piekących się ciasteczek. Babcia być może trochę zrzedziła, ale na pewno była doskonałą kucharką.

— *Pomóż nam.*

Jessica, która sięgała już po swój szlafroczek, zamarła z wyciągniętą przed siebie ręką. Poczowała, jak po jej plecach biegnie tysiące mrówek.

— *Pomóż nam* — usłyszała znowu. Głos był słabszy niż ten pierwszy, ale tak samo ją przeraził. — *To się zbliża... jest coraz bliżej. Musisz nam pomóc.*

— Ale ja nie potrafię... ja... — zaczęła Jessica i urwała, bo głos uwiązał jej w gardle. — Ja... ja was nie widzę. Jak mam wam pomóc, skoro nie wiem, kim i gdzie jesteście...

— *Pomóż nam. Jest sposób.*

— Jaki sposób? Ja was nawet nie widzę. Jak mam wam pomóc?

— *Nie wiesz, co to coś może nam zrobić. Zabierze nas wszystkich... a później zrobi jeszcze straszniejsze rzeczy.*

— Gdzie wy jesteście? Pokażcie mi się... chcę was zobaczyć.

— *Tu jesteśmy. Dokładnie tutaj. Pomóż nam.*

Jessice wydawało się, że głos dochodzi z bliska, że jest tuż przy jej uchu, ale był także jakby wokół niej, jak gdyby jednocześnie mówiło pięćdziesiąt osób.

Zajrzała do kominka. Głos musiał dochodzić właśnie stamtąd. Tak, na pewno. I dlatego brzmiał tak dziwnie, jak echo nawołujących się z wielu stron w lesie osób. Pewnie ktoś w innym pokoju szeptał te tajemnicze słowa do kominka i głos szedł przez kominy i dochodził aż tutaj. Nieważne, czy babcia o tym wiedziała, czy nie, ale w tym domu musiały być jeszcze jakieś inne dzieci. Może uciekły z domu, może były sierotami, które uciekły z pobliskiego sierocińca.

Kimkolwiek są, odnajdę je, postanowiła Jessica. Wiedziała, że są przerażone, że coś im zagraża i że bardzo się boją.

— Powiedzcie mi, gdzie jesteście — powtórzyła pewniejszym już głosem. — Nie bójcie się. Powiedzcie, w którym jesteście pokoju, to przyjdę tam i uratuję was.

— *Tu jesteśmy. Pomóż nam.*

Jessica miała jeszcze raz zapytać, ale w tym momencie zobaczyła w drzwiach szeroki uśmiech babci, która weszła do pokoju w kuchennym fartuszku.

— Wydawało mi się, że mnie wołałaś, serduszko moje. Zejdiesz do nas na dół? Czeka na ciebie gorąca czekolada, ciasteczka i cytrynowy torcik.

— Tak, babciu... oczywiście. Wspaniale... — odparła Jessica. Wydało jej się, że słyszy jakiś szelest, jakby pod podłogową listwą przebiegała mysz.

— Czy wszystko w porządku, dziecinko? Wyglądasz, jakbyś się czymś martwiła.

— Ależ nie, babciu. Wszystko dobrze. — Jessica uśmiechnęła się, uświadomiła sobie jednak, że musi jeszcze coś powiedzieć, bo babcia nie da się tak łatwo zbyć. — Głowa

już mnie tak nie boli — dodała. — Myślę, że mam nawet ochotę porysować dziś po południu.

Gdy schodziły razem po dębowych schodach, rozległ się dzwonek u drzwi.

— Ja otworzę, nie spieszcie się! — krzyknął do nich dziadek Willy.

Przez otwarte drzwi do ciemnego wnętrza domu wtargnął zimowy chłód i blask odbitego w bielutkim śniegu słońca. Jessica zmrużyła oczy, ale nie rozpoznała stojącej w progu postaci. Widziała tylko jej ciemny zarys — był to chudy, dość blady chłopak z opadającą na czoło blond grzywką i czerwonym od mrozu nosem.

Dziadek Willy odwrócił się i oznajmił:

— Młody człowiek imieniem Renko, z wizytą do ciebie.